Nr. 23. Lwów, dnia 10. Sierpnia 1888 r. Rok I.



Pismo poświęcone powieściom, romansom, nowellom i wspomnieniom.

Prenumerata wynosi w Galicyi: Rocznie **6** złr., półrocznie **3** złr. kwart. **1** zł. **50** ct., mies. **50** ct. Skład w drukarni W. Manieckiego Lwów.

W Księstwie Poznańskiem: Rocznie **12** marek, półrocznie **6** marek ćwierćrocz. **3** m., miesięcz. **1** m. Skład w Poznaniu u J. Leitgebra i Ski

Wydawca: **Józef Rogosz.** — Redakcya i Administracja *„Wieczorów zimowych“* **w drukarni nar. W. Manieckiego ul. Kopernika l. 7 we Lwowie.**

„Wieczory zimowe“ **wychodzą we Lwowie trzy razy na miesiąc, a mianowicie**: każdego 1-go. 10-go i 20-go.

W ŚMIERTELNYCH ZAPASACH

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

osnuta na tle stosunków Wielkopolskich

przez

JÓZEFA ROGOSZA.

(Ciąg dalszy)

Baron urwał i na swego towarzysza skierował wzrok pytający. Ten z głową zwieszoną siedział zamyślony i smutny. Słowom przed chwilą usłyszanym nie mógł nie przyznać całej racji, a jednak czuł to dobrze, że nie potrafiłby być nigdy takim, jakim go chciał baron widzieć. Mimo energji wrodzonej nie umiał by być tyranem, a to trzeba by chyba zmienić się w tyrana, żeby swój dom tak urządzić, jak mu radzono.

— I cóż pan na? to — baron po długiej pauzie zapytał.

— Na to tylko odpowiem, że choćbyśmy z całego serca pragnęli, nie potrafimy być takimi, jakimi nam pan radzisz zostać, bo na naszą słabość, że tak powiem domową, składa się nasza rasa, tradycja i cywilizacja arystokratyczna, która nakazuje kobiety osłaniać i im służyć... Dopóki więc wychowanie naszych kobiet do gruntu się nie odmieni, my sami zostaniemy, jakimyśmy dotąd byli.

— Zanim to jednak nastąpi, wpierw razem z niemi zginiecie.

— Być może. Wtedy spełni się tylko konieczność dziejowa, której nikt nie odwróci — odpowiedział pan Miliński z rezygnacją.

Baron usta wydął.

— Nie spodziewałem się — rzekł — że i pan należysz do polaków sentymentalnych.. A przecie nie wszyscy wy tacy. Gdyby każdy z was czekał jak nim los pokieruje, jużby was tu dawno nie było. Zatem i między wami muszą być mężczyźni więcej surowi. Zapewne znasz pan hrabiego X.. magnat to wielki, a mimo to on jeszcze więcej oszczędza niż dziś ja sam. Przed kilku laty poznałem go w Berlinie, posłował wtedy do Reichstagu. Odwidzałem go często, bo jest miłośnikiem sztuki i ma wcale ładny zbiór numizmatów. W roku ubiegłym byłem w Poznaniu. Pewnego dnia wybrałem się fiakrem za miasto, aby zobaczyć nubijczyków, którzy na wielbłądach produkowali się niedaleko głównego dworca kolei żelaznej. Godzina wybiła trzecia z południa, gorąco było niesłychane. Gdym dojeżdżał do bramy fortecznej, spostrzegłem hr. X... z torbą podróżną w ręku. Zatrzymuję się, wysiadam i przywitawszy się z nim pytam, dokąd idzie. „Na kolej, bo do domu wracam.“ I hrabia idzie pieszo? „Ja to najlepiej lubię — odrzekł — bo z miasta na kolej nieda leko.“ Usłyszawszy to nie śmiałem mu proponować, żeby siadł ze mną, bo mógł się tem obrazić. Gdy się potem dowiedział dokąd jadę, rzekł: „Jedź baronie, ja tam może także przyjdę, bo do pociągu mam jeszcze przeszło trzy kwadranse. Tam z sobą pogadamy.“ Odjechałem. Na placu kupiłem bilet do pierwszej ławki. Kosztował nie drogo, jedną markę. Siedziałem może dziesięć minut, gdy wtem ktoś mię z tyłu trącił. Obracam się i widzę hrabiego, ale na drugiem miejscu, za sznurem już wśród pospólstwa. Gdy się do mnie nachylał, sznur trocha się poddał, co widząc żandarm, utrzymujący

w tem miejscu porządek, pchnął go dosyć niegrzecznie mówiąc: *Zurück!* Wstałem i poszedłem do niego, a w pół godziny hrabia z torbą pod pachą udał się znowu *per pedes apostolorum* prosto na kolej. Jak się później dowiedziałem, człowiek ten jest tak samo we wszystkiem oszczędny, żona zaś i dzieci ani na włos od niego nie odbiegają. Kto tak żyje panie Miliński, ten nie potrzebuje bać się wywłaszczenia, bo on prędzej niemcom ziemię zabierze niż oni jemu. Tak powinni żyć wszyscy polacy.

— Hrabiego, o którym pan baron mówi, znam nietylko z reputacji, nawet osobiście — pan Miliński odpowiedział. — Człowiek to w rzeczy samej bardzo oszczędny i gospodarny, lecz ośmielę się tu zrobić uwagę, że jest to wyjątek, któremu powiodło się znaleźć także żonę, podzielającą jego przekonania i zasady; że z takich rodziców nawet dzieci będą oszczędne, to rzecz prosta. Wszelako wyjątek panie baronie nie stanowi reguły.

— To źle, bardzo źle — rzekł baron, z ziemi się podnosząc. — Powiedziałem kochany panie, co mi sumienie nakazywało, a pan zaś uczynisz co uznasz za stosowne. Na pożegnanie zaś, bo czas już wracać do domu, przyjm jeszcze jedną przestrogę. Nie radzę panu zobowiązywać się w obec brata do dostawy większej ilości buraków, bo to rzecz ślizka. Gdyby się tak nie urodziły, mógł byś się potem znaleźć w niemiłem położeniu. Mój brat jest człowiekiem rzetelnym, kupcem oględnym i fabrykantem sumiennym, ale w interesie umie być bezwzględnym.

To powiedziawszy uścisnął dłoń pana Milińskiego i krokiem wolnym odszedł do Komarowa.

XXVII.

Pan Miliński wracał zamyślony. Najbardziej uderzyły go ostatnie słowa barona. Czemu je wypowiedział tak jakoś dziwnie a dobitnie, że choćby nie chciał, musiał je dłużej zapamiętać? Czyż by mu ze strony jego brata w rzeczy samej groziło niebezpieczeństwo?

Przypomniał sobie całą dzisiejszą rozmowę z baronem Maurycym w jego kantorze. Przyjął go grzecznie, przyrzekł dać zaliczkę na buraki przyszłoroczne i tylko z góry zapowiedział, iż w razie gdyby buraków nie dostał, musiałby otrzymać stosowne wynagrodzenie. Warunek taki jest przecie naturalny i już Silber go uprzedził, że baron inaczej nie da pieniędzy.

Gdy tak myślał, spostrzegł listonosza, który ze skrzynki żelaznej, umieszczonej na dworskiej bramie, listy wyjmował. Przychodził on tu z poczty codzień koło południa, gdyż przed Trzcińcem miał kilka innych wiosek, które musiał obsłużyć, a po oddaniu listów, gazet i mniejszych posyłek, które z sobą przynosił, zabierał ze skrzynki listy miejscowej ludności i z niemi do miasta wracał. Dzięki temu zarządzeniu, ani pan Miliński, ani ksiądz, ani włościanie nie potrzebowali umyślnie na pocztę posyłać.

Listonosz był niemiec, ale człowiek uczciwy; rozumiał przytem po polsku; nawet od biedy mógł się tym językiem wysłowić. Pan Miliński dosyć go lubił i nieraz trojaka w dłoń mu wetknął.

— Co tam słychać panie Uhlmann? Masz pan co dla mnie? — zapytał teraz po polsku.

— Jes, jes, *zeitungi* i list — odpowiedział, wyjmując dzienniki i list z torby skórzanej.

— A zkąd list?

— Daleko... z *Ausland* — odrzekł Uhlmann na list patrząc. — *Aus Oesterreich.*

— Z Austrji? Ciekawym, od kogo może być — mówił pan Miliński biorąc list do ręki; spojrzał najpierw na napis, potem na dużą pieczęć herbową, i zrobił minę zdziwioną, gdyż nie mógł domyśleć się od kogo by pochodził. Rozerwał nareszcie kopertę, ale gdy okiem na podpis rzucił, zawołał radośnie:

— Od wujaszka! A to niespodzianka! — Potem do listonosza się zwracając dodał: — Masz pan tu na piwo, boś mi przyjemny list przyniósł.

Niemiec z głębokim ukłonem schował trojaka, a pan Miliński zaś do domu idąc, czytał:

„Najukochańszy Henryku! Zdaje mi się, że już sto lat, jakem cię nie widział, a że mi coraz smutniej na świecie, bom sam jak palec, i prócz ciebie nie mam nikogo z krewnych a sześćdziesiątka właśnie minęła, więc postanowiłem odwidzieć Cię w Trzcińcu, i już niebawem do Ciebie przyjadę. Spodziewam się, że Cię zastanę, bo to żniwa a Ty zawołały gospodarz. Nie uwierzysz, mój słodziutki kochasiu, jak mnie już ta sama myśl cieszy, że Cię wkrótce uściskam. Nim to nastąpi, ucałuj wpierw różowe paluszki swojej cudnej Magnifiki, którą mam już przyjemność znać z fotografji, i przyjm serdeczne uściśnienie od szczerze Cię kochającego wuja — Tadeusza Bielskiego“.

W pierwszej chwili siostrzeniec listem wujaszka bardzo się ucieszył, pan Bielski miał bowiem miły humor i był jedynym bratem jego nieboszczki matki; wszelako gdy pismo jego raz jeszcze uważnie odczytał, czoło mu się zasępiło.

— Przyjeżdża do mnie w taki czas gorący — myślał. — Co to może znaczyć? Wszak żniwo tak samo u niego jak u mnie, a Babice dwa razy większe niż Trzciniec. Przytem na Podolu o robotnika trudno; przypominam sobie, że nieraz sam mi to mówił... Do kąpiel nie jedzie, boby był wspomniał, że jest chory.. Co to może znaczyć?

Myślał, rozważał, kombinował, a chociaż przeczucie szeptało mu uporczywie, że wuj nie dla tego tu jedynie przyjeżdża, iż go chce zobaczyć i uściskać, mimo to dalekim był jeszcze od prawdy. Dopiero pojawienie się samego pana Bielskiego miało zagadkę rozjaśnić.

Gdy do domu wróciwszy powiedział swoim damom, kogo w Trzcińcu wkrótce zobaczą, na każdej z nich wiadomość ta inne zrobiła wrażenie. Antosia zwróciła się zaraz do dzieci mówiąc im, żeby się cieszyły, bo dziadzio przyjedzie, pani Eleonora rzekła obojętnie: Tak, przyjedzie? i na tem skończyła; hrabina zaś zaczęła natychmiast zięcia wypytywać, jak pan Bielski wygląda, ile ma lat, czy należy do ludzi wesołych, czy umie po francuzku, czy dużo podróżował, czy pochodzi z tej samej rodziny, co hrabiowie Bielscy w Galicji mieszkający, czy jest *un dimable causeur*, nakoniec czy jest to człowiek dobrego towarzystwa, umiejący znaleźć się stosownie w obec dam dystyngowanych. Zięć chwalił wuja, jak jeszcze nikogo w życiu, bo przypisywał mu takie cnoty towarzyskie, których staruszek nigdy nie posiadał. Hrabina słuchała z zadowoleniem i na samą myśl, że już wkrótce prócz córki, będzie miała kogoś więcej do miłego „komersu," jej oczy żywym blaskiem zajaśniały, i w ferworze Henryka „drogim synciem" nazwała.

Zapał dla zięcia prędko się jednak zmienił, zdarzyło się bowiem tego samego dnia popołudniu, że musiał on Stasia po rączce uderzyć, bo Jańci dokuczał. Babka była przytem. Chłopiec rozpłakał się głośno, ale babka aż w dłonie klasnęła i z radością rzekła do ojca:

— Dobrześ zrobił, dobrze! Chłopca najlepiej rózgą prowadzić. Niech się nie uczy znęcać nad biednemi kobietami.

Ojciec, który ilekroć jedno lub drugie dziecko musiał uderzyć, był zawsze blady i drżący, usłyszawszy te słowa i widząc dziki wyraz na twarzy teściowej, rzekł z oburzeniem:

— Jak dotąd, słyszałem tylko o babkach, które wnuków bronią, teraz jednak widzę taką, która wychowawszy się w czasach pańszczyźnianych, kiedyto same damy lubiły patrzeć jak słabszych rózgami chłostano, chciałaby jeszcze na własnych wnukach doświadczać tych wrażeń szlachetnych,

To powiedziawszy wyszedł i z gniewem drzwi za sobą zatrzasnął.

— Brutal! — syknęła hrabina.

Po tej scenie, pan Miliński nie mógł się długo uspokoić. Dopiero nad samym wieczorem odzyskał równowagę Wtedy znalazłszy chwilę stosowną udał się do pokoju żony.

Rozmowa z archeologiem musiała w jego poważnym umyśle wyryć ślady głębokie.. Bądź co bądź nie mógł mu on nie przyznać słuszności, a że przytem był człowiekiem praktycznym i uczciwym, który dla dobra rodziny i honoru domu, był gotów ponieść sam największe ofiary, więc powiedział sobie, że pod tym względem powinien także żonę wybadać. Czynił to jednak li z obowiązku, by sobie nie mieć nic do wyrzucenia, nie w nadziei, że piękna Eleonora poda mężowi rękę pomocną i pójdzie z nim uśmiechnięta przez głogi i ciernie.

Nie zbyt jeszcze długo z sobą żyli, ale on niestety poznał ją już aż nadto dobrze. Była zimna i kochała tylko siebie. Pod tym względem przypominała żywo swoją matkę, ale że od niej miała więcej ogłady i rozumu, więc też zręczniej swoje wady ukrywała. Wiedząc, że świat, ma dobre oczy, nie odgrywała ani głośnych komedyj jak hrabina, ani jak ona uczuć nie kłamała, na tem bowiem mógłby się każdy łatwo poznać. Pani Eleonora stała ciągle na koturnach jak bohaterka i kazała się uwielbiać jak posąg grecki. By ją kochano, tego nie pragnęła, ona chciała być tylko uwielbianą. I to jej wystarczało.

Mąż zastał ją samą nad romansem, który musiał na niej głębokie wywrzeć wrażenie, skoro gdy rękę z książką spuściła aby na Henryka spojrzeć, na jej rzęsie jedwabnej łza błyszczała a oczy były zamglone. Sentymentalny ten wyraz nie zrobił jednak na nim żadnego wrażenia. Nie patrzył nawet na nią dłużej, tylko usiadłszy obok na krześle, skierował wzrok na okno i zaczął mówić.

Temat wybrał sobie stosowny. Wychowanie i przyszłość dzieci. Żona słuchała nie przerywając i dopiero gdy sam się zatrzymał, rzekła poważnie, cicho, a słodko:

— Miło mi Henryku, żeś dotknął tego przedmiotu. Jeźli sobie przypominasz, ja sama i do tego w przytomności dzieci, by od najwcześniejszej młodości wiedziały, że się niemi zajmujemy, już kilka razy chciałam z tobą pomówić, ale przez ciebie nie doszliśmy nigdy do rezultatu.

— Przezemnie?

— Tak jest, przez ciebie. Wszak zamiast mnie słuchać, dzieciom ciągle noski obcierałeś.

Mąż parsknął głośnym śmiechem.

— Trudna rada, moja kochana! Jeźli miały katar, a prócz nas nikt więcej z niemi nie był, więc chcąc nie chcąc musiałem to czynić.

Toczysty biust pani Eleonory poruszył się, jakby w nim przemocą gniew lub westchnienie tłumiła. Zachowała się jednak spokojnie i usta zesznurowawszy rzekła:

— Mów dalej, słucham.

Mówił tedy o ciężkich stosunkach, w jakich znajduje się cała polska inteligencja w Wielkopolsce, która przez rząd prześladowana, zaledwie na jednej ziemi może jeszcze kawałek chleba znaleźć. Wszędzie indziej droga dla niej zamknięta. Wprawdzie władze pruskie przyjmą każdego czy to do sądownictwa, czy do poszczególnych gałęzi administracji państwowej, czy nareszcie do grona profesorów, byle miał odpowiednie kwalifikacje, wszelako potem tak mu dokuczą, zwłaszcza jeżeli go wyrzucą z gniazda ojczystego i każą mu służyć w czysto niemieckich prowincjach, że biedny słowianin prędzej lub później zniechęci się i wszyst-

kiego się wyrzecze. Położenie mężczyzn jest więc złe, ale kobiet jeszcze gorsze. Te nie mają już żadnego punktu oparcia. Skutkiem tego gdziekolwiek spojrzeć, widzi się biedne panienki, które mężów nie znalazłszy, nie wiedzą jak sobą pokierować, aby żyć przyzwoicie. Wśród takich stosunków — kończył mąż — każdy ojciec mający kilkoro dzieci, powinien nad tem dobrze się zastanowić, jak ich edukacją należy kierować.

— A przecie naszym dzieciom Trzciniec zostawimy — pani Eleonora przerwała.

— Trzciniec niekoniecznie nam samym wystarcza, bo i tak matka twoja, skarzy się, że żyjemy jak liche ekonomy na Ukrainie. Trudno nim więc obdzielić troje, zwłaszcza że i my, nie wybierzemy się zapewne tak łatwo na tamten świat.

— Na to ja już chyba nie poradzę. Wniosłam ci posag, a teraz reszta do ciebie należy, boś głową domu.

Zimna ta odpowiedź nie zniechęciła męża, był na nią przygotowany. Aby więc temat ile możności do dna wyczerpać, zaczął opowiadać jak niemcy u siebie żyją, jak się urządzają, jak wspólnie pracują, bo tylko na tej drodze można coś osiągnąć. Pani Eleonora zbyt wiele miała rozumu, iżby się nie domyślała, do czego mąż zmierza. Wysłuchawszy go tedy cierpliwie do końca, rzekła spokojnie:

— Niemcy, mój kochany, to nie my, to ludzie zupełnie inni. U nich mąż jest panem, żona prostą sługą... U nas na szczęście, jeszcze do tego nie przyszło i mam nadzieję, że nigdy nie przyjdzie. Co do mnie, gdybyśmy byli całkiem biedni, wolałabym w mieście siedzieć i uczyć cudze dzieci, nawet igłą zarabiać, niż być kucharką i krowy doić.

To powiedziawszy, podniosła się majestatycznie i do okna podeszła, by przy niem stanąć. Na jednej szybie rysował się teraz wyraźnie jej profil regularny, z ustami odchylonemi a skronią lekko zasępioną. Piękną była jak kamea. Mąż jednak nie musiał już żadnych wrażeń doznawać, skoro na ten widok zamiast wydać okrzyk pełen zachwytu, uśmiechnął się złośliwie i przeszedł na inny temat.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DWA OBOZY

POWIEŚĆ FRANCUSKA

WIKTORA CHERBULIEZ.

(Ciąg dalszy.)

I jakby to wspomnienie nieszczęsne, wywołało u niego kurcz spazmatyczny, zaczął przechadzać się gwałtownie, wachlując się chustką i mierząc kiedy niekiedy Alberta wzrokiem pełnym oburzenia i litości pogardliwej. Albert czuł, że zapas cierpliwości anielskiej, wyczerpał się najzupełniej; krew w nim wrzała, w uszach szumiało, i gotował się do walki zaciętej z gburem nieokrzesanym. W jakież wpadł osłupienie, gdy p. Cantarel zatrzymał się nagle. tuż przed jego nosem i rzekł:

— Chcesz jej pan zatem? Chcesz na serjo?... Mniejsza o to. bierz ją sobie!

Albert na chwilę oniemiał, przygnieciony szczęścia nadmiarem, które uderzało w niego, niby maczugą po głowie. Nie śmiał w nie uwierzyć. wlepił w pana Cantarel oczy niespokojne. Posądzał go niemal o drwiny.

— I cóż młodzieńcze! nawet mi nie dziękujesz? — wykrzyknął trybun miljoner

— Panie, racz mi powiedzieć, a prędko! jakiego dowodu wdzięczności żądasz odemnie? Jestem gotów do wszystkiego!

W duchu mówił sobie: — „Jeżeli zechce, żebym go uściskał i to uczynię!“ P. Cantarel jednak, nie wystawił go na tak ciężką próbę. Zmienił na poczekaniu ton i całe ułożenie; jego pycha impertynencka, ustąpiła miejsca nadmiarowi poufałości, która nie mniej raziła Alberta.

— Rzeczywiście byłbyś niewdzięcznikiem, gdybyś mnie nie ubóstwiał chłopcze kochany. Robię ci prezent nie lada Pominąwszy skromność opiekuna, dziewczyna śliczna, istne cacko, smaczna co się zowie. Kąsek to królewski! Ma ona to „coś!“ nie dające się określić, ma tego bardzo wiele! jesteś słowem: najszczęśliwszym nicponiem!...Proszę cię, od kiedy też zacząłeś się w niej kochać?

— Od dnia, kiedym ją widział w sali szpitalnej, opatrującą ranę ropiącą się — odpowiedział tonem lodowatym. — Gdy się przestaje wierzyć baletnicom, kobietą najmilszą nam i najponętniejszą wydaje się ta która umie z gracją spełniać czynności prawdziwie pożyteczne.

P. Cantarel uderzył go przyjacielsko po ramieniu, a patrząc mu w oczy drwiąco, zaśmiał się rubasznie:

— Ho! ho! jesteś gorszym hultajem, niż się nawet spodziewałem. Kochasz się nie w kobiecie, tylko w zakonnicy.

Nie dając mu czasu odpowiedzieć wtrącił szybko:

— Muszę pomówić z moją pupilką; trzeba przecie i ją o zdanie zapytać w tej sprawie... Wracam za chwilkę.

Albert został sam na jakie dziesięć minut. Nie mógł dotąd otrząść się z osłupienia, w jakie go wprawiło powodzenie nadspodziewane.

— Miejmy się na baczności, mój synu! — szeptał w duchu. — Ten błazen gotów z nas zadrwić! To coś z góry uplanowanego, gra ułożona i wkrótce splata nam figla, wytnie kominka po swojemu, w czem i pani de Moisieux rączkę umacza!

Na tę myśl z ócz mu się iskry posypały.. inaczej się jednak stało niż przewidywał.

P. Cantarel wrócił, mówiąc tonem dobrodusznym i najuprzejmiejszym:

— Wszystko w porządku, kochany panie; jesteś przyjęty najsolenniej, tak przez opiekuna, jak i przez pupilkę, o czem zresztą wcale nie wątpiłem Jesteś nader niebezpiecznym uwodzicielem, rzuciłeś urok na to drogie dziecię, ubóstwia cię po prostu, ty! ty! potworze! i za to nie jesteś mi winien żadnej wdzięczności. Oddaję ci ją, bo nie mogę zrobić inaczej; gdybym ci jej odmówił. musiałbym strzedz jej jak oka w głowie, na co brak mi czasu, mam bowiem za wiele interesów na karku!... Oto naprzykład chociaż obiecałem milczeć. opowiem ci pewną historyjkę. Temi dniami ktoś... zazdrośnikom trzeba wiele przebaczyć... ktoś, jak wspomniałem, pozwolił sobie tej przyjemnostki i wmówił

w nią, żeś kark skręcił po prostu, spacerując konno po lasku; biedna mała padła na posadzkę jak nieżywa. To miłość co się zowie! a tyś nicpoń niesłychany!

Gdyby w tej chwili człowiek, którego przed chwilą w myśli błaznem nazwał, był wpadł do bezdennej otchłani, pan Valport byłby skoczył mu na ratunek bez namysłu, z serca całego. Przebaczał mu jego głupie koncepta, tłuste żarciki; mało brakowało, a byłby go uznał zachwycającym, najmilszym i dystyngowanym. Zmarszczył jednak czoło, gdy pan Cantarel dorzucił:

— Ale, ale!.. stawiam jeden jedyny warunek, na który przystała z góry i panna Maulabret: Nie będzie mowy o niczem, aż za półtrzecia miesiąca, a przez ten cały przeciąg czasu, nie będziecie się wcale widywali.

— Warunek — wtrącił Albert ponuro — wydaje mi się bardzo twardym i dość dziwnym

— Zaraz się wytłumaczę. Wiesz pan, lub nie wiesz, faktem jest atoli, iż margrabina de Moisieux, prosiła mnie o rękę Jetty dla swojego syna. Panna Maulabret na nieszczęście, nie gustowała wcale w tym grubasie. Ponieważ dla samej margrabiny ma wiele przyjaźni, chcąc jej osłodzić pigułkę, obiecała dać sobie czas do namysłu i odwlec na kilka miesięcy odpowiedź ostateczną. Otóż termin przez nią przyjęty kończy się dopiero z ostatnim czerwca. Pani de Moisieux ma nadto wiele rozumu, aby żywić bodaj cień nadziei, musi jednak liczyć się z syna swojego drażliwością niesłychaną. Wymogła na nim, że spróbuje rozerwać się podróżą. Nie chciał odjeżdżać, przypomniała mu obietnicę panny Maulabret, a ja sam zaręczyłem mu najsolenniej, że z powrotem zastanie wszystko jak zostawił... Kwestja czasu, nic więcej, kochany panie, zachowanie pewnych względów towarzyskich, których ja przez całe życie ściśle się trzymałem. Jestem człowiekiem słownym, słownym niesłychanie.. Nie przybieraj że pan takiej miny pogrzebowej dwa miesiące zbiegną jak jedna chwila, zresztą, od dziś uważaj pannę Maulabret, jako do ciebie należącą... Czy wystarczy panu moje słowo, czy też mam ci wystawić cyrograf na pergaminie?... Ale ale! skorośmy wpadli na temat pisania, nie będąc żadnym tyranem nie zabraniam wam wcale pisywania, skoro się nie macie widywać Piszcie zatem tyle listów nawzajem, ile wam się będzie podobało.

Te słowa ostatnie ułagodziły cokolwiek niepokój Alberta; jak tylko wolno im było pisywać do siebie, nie potrzebował się niczego obawiać. Poszanowanie zresztą przez pana Cantarel form pewnych i słowa danego, pozwalało mu bodaj z grubszego obdrapać zamek w Bois-le-Roi, gdzie myślał spędzić po ślubie miodowe miesiące, i zaopatrzyć go w to wszystko, co stało się dziś niezbędnem, do wygódek kobietki eleganckiej.

— Spodziewam się przynajmniej — rzekł tonem podrażnionym — że mnie pan zechcesz upoważnić, do złożenia dziś zaraz u stóp panny Maulabret, mojego hołdu i szczerego uwielbienia. Byłbym nader szczęśliwy, słysząc z jej własnych ust potwierdzenie..

— Nic sprawiedliwszego! — przerwał mu p. Cantarel, biorąc go pod ramię. — Te panie, czekają na nas w salonie.

W pół godziny później po zamkowej terasie, Albert przechadzał się z Jettą sam na sam której polecono bawić go tymczasem. Role obecnie zamienili. On był rozdrażniony, zdenerwowany, trochę sztywny; ton mowy jego suchy, urywany, świadczył o niepokoju gorączkowym, jego duszy. Jetta natomiast była spokojna, rozjaśniona i zupełnie swobodna. Zakończyła swoją walkę wewnętrzną, nie miała już skrupułów ani wyrzutów sumienia, poddawała się bez oporu prądowi, który ją unosił, a co w tem było najciekawszem, to okoliczność, że jeżeli odzyskała spokój duszy, zawdzięczała to po części eks huzarowi, który zamienił z wiekiem dołman na sutannę. Usiedli na ławeczce a Valport wykrzyknął:

— Jak ów spioch w bajce, potrzebowałbym, żeby mnie kto ugryzł w mały palec, aby przekonać, żem się już obudził Czy ta ławka jest naprawdę ławką? Czy ten bez ma istotnie pączki na kwiat? Czy to ja jestem Czy to pani w własnej osobie? Jest że to faktem niezbitym?... Ani wiem, na którym świecie się znajduję. Wyobrażałem sobie Combard, jako fortecę niezdobytą, najeżoną strzelnicami i śmigownicami. Przybyłem zdecydowany i przygotowany, na wytrzymanie trudów nader długiego oblężenia. Tymczasem spuszczono przedemną natychmiast most zwodzony i dostałem się aż do pani drogą wyścieloną iście aksamitem Zdaje mi się, iż nie dość opłaciłem taki nadmiar szczęścia i że wstydem jest niemal wracać z bitwy bez zadraśnięcia nawet. Musiałem jedynie złożyć egzamin co do mojej wiary politycznej.

— Czy tenże wypadł zadowalniająco?

— Nie myślę. Oświadczono mi kategorycznie, że jestem oportunistą i sceptykiem.

— Tak! tak! sceptykiem, tolerantem. Wyznałeś mi to pan zaraz w ów pierwszy wieczór, kiedyśmy się poznali.

— I pani nie waha się mnie poślubić? To coś cudownego!... Ale uspokój się pani, obgadywałem siebie. Mam zasady religijne, bardzo silnie zakorzenione.

— Czy mogła bym je poznać?

Albert skoro chciał, umiał mówić wszystkimi językami

— Słuchaj że mnie pani — odpowiedział. — Wierzę że jest Bóg, nie pustelnik dziki i ponury, ale istota niesłychanie towarzyska, bo w tym celu świat stworzył, aby sobie przysporzyć towarzystwa. Wierzę, iż jest nieskończenie dobrym, skoro nam istnieć pozwolił i dopuścił, abyśmy się ręka w rękę, przechadzali po tej terasie. Wierzę, że jest wszechwiedzący, i że od wieków postanowił w swojej mądrości, żebyśmy się spotkali na tym padole łez i nędzy wszelakiej. Sądzę, iż miał by był do nas żal okrutny, gdybyśmy się byli sprzeciwili jego woli i myśli, do której przywiązał się był najwidoczniej; wierzę również, iż zadowolniwszy go co do głównego założenia, możemy odtąd liczyć na jego pobłażliwość, jest bowiem samą mądrością, nie może więc skazywać na doskonałość istoty śmiertelne i niedoskonałe.. Wierzę w szczególności — Albert wlepił w Jettę swój wzrok sokoli, którego ogień pożerający zaledwie znieść mogła — wierzę silnie, że co się najwięcej zbliża do istoty nieskończonej i doskonałej, to miłość dwojga istot ułomnych i śmiertelnych, jak ja i pani. Kochajmy się zatem namiętnie, po szalonemu, a jeżeli kiedy, za pani wstawieniem, zostanę wpuszczony do nieba i zamieszkam z aniołami, jeżeli Boga twarz w twarz zobaczę, powiem mu: Znam cię Boże! widziałem cię dnia pewnego, gdyś chodził po ziemi.

To wyznanie wiary, tchnące straszną herezją, nie zgorszyło tak bardzo panny Maulabret. Kobiety posiadają dar odgadywania i tłumaczenia wszystkiego na swój sposób. Ich serce, skoro chcą, znosi góry, zapełnia otchłanie, robi bielszemi od śniegu grzechy najczarniejsze. Kobieta, praw-

dziwa kobieta, kochając ateusza, żeby plótł nie wiem co, wyczyta zawsze w jego oczach, iż wierzy w Boga.

— Oto moje Credo—rzekł w końcu.—Cóż pani na to?

— Co mnie martwi — zawołała wesoło — to, że mnie pan już nie chcesz uważać za istotę doskonałą.

— Prawda! odkryłem w pani błąd wielki. Wolisz pani nadzieję, niż szczęście rzetelne, i potrzeba pani aż całych, długich dwóch miesięcy, aby oswoić się z myślą o przyszłem szczęściu.

— Oh! tej zwłoki, nie ja przecież żądałam!

— Może.. zniesiesz ją pani jednak bez smutku i bez niecierpliwości.

— Koniec końców — uśmiechnęła się słodko — zanim zerwie się kwiat szczęścia, trzeba mu czas zostawić, aby dojrzał.

— Ta odpowiedź świadczy o pani mądrości niesłychanej, ale ja właśnie tę mądrość mam ci do wyrzucenia. Gdy raz będziesz moją, nauczysz mnie mądrze rozprawiać, ja zaś ciebie nawzajem szału miłośnego, i wszystko będzie w porządku.

Przerwał ich serdeczną pogadankę p. Cantarel, który chciał pokazać Albertowi swój park, zamek, swoje Fragonardy i swojego Dantona. Albert okazał po temu największą gotowość i nie omieszkał chwalić w czambuł wszystkiego Bądź jak bądź, było to jeszcze zadaniem łatwiejszem, niż ratować pana Cantarel z bezdennej przepaści. Gdy skończono przegląd całego terytorjum, opiekun panny Maulabret wpadł w tak dobry humor, iż zapominając o zwykłej przezorności, ośmielił się z żony własnej zażartować, mimo iż wiedział z długoletniego doświadczenia, że mu to nigdy na sucho nie uszło.

— Nie widziałeś pan jeszcze w Combard — zwrócił się do Alberta — rzeczy najpiękniejszej, cudu cudów! Poproś panią Cantarel, żeby ci raczyła pokazać swoje koguty murzynki.

Pożałował zbytniej zuchwałości, gdy pani Cantarel, znająca historję z fałszywym Fragonardem, rypostowała natychmiast tonem suchym i kończastym:

— Moje murzynki mają przynajmniej to za sobą że są niefałszowane; prawda i to, że ich nie kupuję śpiąc, tylko obudzona.

Zatrzymano Alberta na objad. Zjadał z apetytem kąski wyborne, któremi go raczono. Był rozmowny, bawił towarzystwo opowiadając rozmaite anegdotki z werwą i dowcipem zajmującym Jetty uwagę. Pani Cantarel znajdywała nawet, iż ma go za wiele, nikomu się jednak nie zwierzyła z owem spostrzeżeniem Zegar wydzwonił dziewiątą wieczór, gdy zapowiedziano Albertowi, że powóz zajechał.

— Moja śliczotko — odezwał się do Jetty p. Cantarel — pozwalam ci odprowadzić pana Valport aż na dziedziniec. On mi zaś nawzajem obiecał, że cię nie wykradnie.

Wyszła pod ramię z Albertem. Groom trzymał jedną ręką konie, w drugiej latarnię. Albert odesłał chłopaka pod pozorem, że zostawił na górze w przedpokoju swoje rękawiczki. które miał w kieszeni, Wtedy szepnął Jecie:

— Mimo obietnicy, mam szaloną ochotę porwać panią i uwieźć z sobą. „Wśród nocy i wichru“ — jak mówi piosenka... — chcesz?!...

— Nie — roześmiała się wesoło — nie mielibyśmy przyjemności pisywania do siebie.

— Oto mój pierwszy list! — odpowiedział.

Otoczył ją nagle ramieniem. przycisnął do piersi, i złożył na jej ustach długi, namiętny pocałunek. Gdy wróciła sama do zamku, czuła na ustach całą jego słodycz a w duszy upojenie i trwogę dziwną.

Cokolwiek mogła myśleć pani Cantarel, Albert był szalenie rozkochany w pannie Maulabret i czuł się dumnym i szczęśliwym z odniesionego zwycięztwa Zawiódł się tylko cokolwiek. Ktoś, co lubi się czubić, nie znosi zwycięstwa nadto łatwego. Zdawało mu się, iż przedsiębierze nader trudną i żmudną wyprawę, wziął na drogę zapas odwagi i wytrwałości, przyrzekł sobie najsolenniej rozwinąć całą energię, w walce z niechęcią i złą wolą opiekuna, z intrygami przebiegłej i chytrej margrabiny de Moisieux, ze skrupułami niebezpiecznemi panny Maulabret W chwili jednak, gdy stawał do ataku, nieprzyjaciel ulotnił się jak cień, rozpłynął się w powietrzu, zostawiając przed nim zupełnie wolne pole bitwy. Podobny był do człowieka, który zbiera wszystkie siły, aby drzwi wysadzić, a w tem one same się przed nim otwierają, i on nie wie co robić z zasobem nagromadzonym. Nie mając chwilowo nic lepszego do roboty, Albert okładał konie batogiem, a po drodze łamał przydrożne gałązki, z niebezpieczeństwem wypadnięcia z koziołka. Byłby i konie i gałęzie zostawił w spokoju, gdyby był mógł odgadnąć, że w tej samej chwili pani de Moisieux wracała z Paryża, gdzie odwidziła w jego norze lisa przebiegłego, i miała z nim konferencję krótką, ale nader treściwą.

— Na prawdę! — zawołała Jetta do pani Cantarel, wróciwszy do salonu. — Wszystko wygląda na bajkę czarodziejską!

Ta jej odpowiedziała:

— Lubię niezmiernie bajki czarodziejskie, ale to zawsze bajki tylko.

A gdy Jetta wlepiła w nią wzrok niespokojny i badawczy:

— Moja droga — wtrąciła. — Tak jak pan Vaugenis powiem ci: Strzeż się!

— I kogoż naprzykład?

— Nie wierz nikomu. Ani panu Cantarel, ani margrabinie de Moisieux, ani panu Valport, ani sobie samej. Strzeż się całego świata!

— Niech jej Bóg przebaczy! — pomyślała Jetta. — Gorycz i zniechęcenie, doprowadziły ją niemal do fiksacji.

XIX

Spędzili zatem przeszło dwa miesiące, nie widując się wcale, ale za to tem częściej do siebie pisywali. Listy Alberta były długie niesłychanie; chciał, żeby panna Maulabret wiedziała o najdrobniejszych szczegółach prac i odmian podjętych przez niego w zamku Bois-le-Roi; pisał jej o murarzach, stolarzach, malarzach i tapicerach. Jetta odpowiadała odwrotną pocztą; listy jej były o wiele krótsze; oto urywki z niektórych:

„16 kwietnia“

„Nie, cokolwiek byś pan utrzymywał, nie czuję ani wyrzutów sumienia, ani trwogi, ani wewnętrznego niepokoju Przez wiele dni, kłóciłyśmy się zawzięcie, o n a ze mną. Pogodzono nas wreszcie; tak gwałtowne spory bowiem nie mogą trwać wiecznie. Pan Vaugenis, który wczoraj był w Combard na obiedzie, opowiadał mi, może w pewnym skrytym zamiarze, iż w Uwenach, mieszkał

w domu tak dziwnie zbudowanym, że jednym bokiem z dachu jego spływał deszcz do morza Śródziemnego, a z drugiej do Oceanu. Pomyślałam, iż gdyby ten dom miał był duszę, nie byłby długo wytrzymał podziału podobnego. Bądź jak bądź, zdecydował by się na coś jednego, powiedziałby sobie, iż oddając siebie, trzeba się oddać w całości. Jam się tak oddała, i ani mi w głowie odbierać czegokolwiek. Czuję się szczęśliwą, i wiem, że otrzymam przebaczenie. I Pan wiesz o tem doskonale; chciałeś jednak, żebym Ci to na piśmie powtórzyła. Czyś teraz zadowolony?"

3 Maja.

„Poczciwi ludziska, którzy pracują w pocie czoła, aby nam gniazdko usłać wygodne (jak Pan się wyrażasz.) Będzie to zatem istne cacko, nieprawdaż? Pan jednak utrzymujesz, że mnie popsuła pani de Pompadour, i że po wspaniałościach w Combard, Bois-le-Roi wyda mi się prostą stodołą. Ręczę, że Pan pierwszy w to nie wierzysz. Zostanę całe życie skromną mieszczaneczką. Wspaniałości pani de Pompadour, przerażają, gubię się jak biedny, szary mól, w tych apartamentach obszernych i z przepychem urządzonych. Lubię takie domki, gdzie się czujemy u siebie, urządzeni swobodnie i z wygodą, a w których można przyjąć i ubogiego, nie potrzebując wstydzić się przed nim swojego bogactwa. Gdy tu się zjawi jaki biedak, mimo serca litościwego, nie wiedzą co z nim począć. Pyszne meble haftowane lub z aksamitu, nie są dla biednych, a nie mają w ca ym pałacu ani jednego krzesełka wyplatanego. Zostawiają ich więc w przedpokoju, lub wyprawiają do oficyn, gdzie ich odwidza pani Cantarel. Gdy ubóstwo zgłosi się do naszej stodółki, nie odeszlemy nikogo, i podamy każdemu, bodaj stołek skromny, drewniany. Bóg błogosławi takim domom, gdzie ubóstwo chętnie zasiada, a jaskółeczki lepią pod strzechą gniazdeczka. Pan Cantarel nie może ich cierpieć... mówię o jaskółkach... nazywa je krzykaczami i każe niszczyć ich gniazdeczka, a mnie to boli. Było ich mnóstwo w naszym szpitalu a na wiosnę ich świegotanie rozweselało chorych; była to niejako nadzieja lepszej doli, przylatująca z głębi Egiptu. Co jest rozkosznem w Combard, to mnóstwo słowików. Czy pan uwierzysz, że w moim wieku, nie słyszałem śpiewu słowika? Wczoraj wieczorem, po raz pierwszy, spotkała mnię ta niespodzianka. Ich gamy i tryle cudowne, rozbrzmiewały w powietrzu, przejmując dreszczem zachwytu, lasy, noc i mnie. Nad sadzawką, pomiędzy dębami rozłożystemi, było ich dwa, odpowiadających sobie nawzajem, a obydwa jedno i to samo powtarzały. Krzyczały na mnie głosem złotym czy kryształowym: — „Kocha cię, będzie cię wiecznie kochał."

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NA ZIEMI MĘCZENNIKÓW

POWIEŚĆ
osnuta na tle stosunków irlandzkich
przez
KAROLA DESLYS'A.

(Ciąg dalszy).

W tej chwili przyniesiono depeszę od szefa sztabu i sekretarz świeżo zamianowany zaczął natychmiast spełniać swój obowiązek.

Humbert był w siódmem niebie!

Posłaniec, młody podchorąży, czekał w przedpokoju.

— Później — mówił jenerał — trzeba nam będzie wydać rozkazy dzienne, proklamacje. Mam w kufrze podróżnym całą pakę papierów już drukowanych: „Do Irlandczyków!" rzecz pięknie i zwięźle zredagowana. Gdzież jednak znajdziemy człowieka tutejszego, któremu można by zupełnie zaufać, spuścić się na jego uczciwość, odwagę, a przytem i na pewien spryt, potrzebny w zadaniu nie lada. Idzie tu bowiem o podrzucanie i rozsiewanie pomiędzy ludem proklamacyj, tędy, którędy my pójść mamy.

— Jest tu, gotów na usługi — Pat wleciał jak z procy na środek salonu i stanął sztywnie wyprostowany. A widząc w swoim panu pewne wahanie: — Och — dodał — czyżby kto znalazł w całej Irlandji posłańca z dłuższemi nogami? W dodatku, nie chwaląc się, zucha jak ja! no, i nie tak znowu bardzo głupiego.

Tankred zauważył, iż rola ta będzie połączoną z wielkiemi niebezpieczeństwami.

— Muszę cię przestrzedz chłopcze kochany, iż mógłbyś za to łatwo podyndać.

— *Mushal!* — Pat strzepnął palcami filozoficznie. — Nie będę w każdym razie pierwszym wisielcem w mojej familji, a jeżeli mnie i powieszą, to za dobrą sprawę.

— Brzydka śmierć — skrzywił się hrabia.

— *Hillou*, każda śmierć jednakowa, byle za swój kraj umierać.

Pat jakby urósł nagle, tak dumnie głowę podniósł, tak mu się oczy zapałem zaiskrzyły.

— Zresztą — dodał z chytrym uśmiechem — Pat nie taki warjat, żeby się dał łapać na gorącym uczynku.

— Dobrze. — Humbert przystał, widząc chłopaka dzielność i determinację. — Masz tu na zadatek. Wieczorem dostaniesz proklamacje.

— *Brrrou!* — Pat złapał w lot pełną złota sakiewkę, rzuconą przez jenerała. — Mam za co sprawić sobie takie ubranie doskonałe, że mnie nawet sam mój pan nie pozna.

— Zobaczymy. Staw-że się dziś wieczorem.

Tak pożegnany, Pat ulotnił się natychmiast, niesłychanie przejęty ważnością roli, którą mieli mu powierzyć.

Główno-dowodzący i jego sekretarz, usiedli napowrót do roboty.

W mieście panował ruch gorączkowy. Majtkowie i żołnierze znosili ciągle jeszcze rynsztunki z okrętów. Mieli nader mało koni, sprowadzono im więcej natychmiast, ze stadnin okolicznych. Ku wieczorowi wjechali z tryumfem kanonierzy na trzech armatach Hurra! frenetyczne, odezwały się na ich przyjęcie.

Kto czem mógł, przychodził w pomoc zbawcom.

Na placach było dosyć bosych Irlandek, ale mimo nędzy i głodu wcale ponętnych i uśmiechających się do zbawców ojczyzny, szczerzących zęby białe i mocne jak kość słoniowa. W jednej chwili przyszło i do tańców. Fraternizowano, kochano się nawzajem. Niech żyje Irlandja! Niech żyje Francja!

Tankred przechadzał się pomiędzy tym tłumem barwnym, ożywionym, malowniczym.

Nagle zjawił się kupiec z drobiazgami, migając przed wzrokiem zachwyconym dziewcząt to barwną wstążką, to chusteczką jedwabną Na plecach mocno wiekiem przygarbionych niósł w wielkiem pudle resztę towarów. Rysy twarzy i strój cały, wytarty, poszarpany, zdradzały niewątpliwie, starego, biednego żyda, obnoszącego towary po okolicy.

Hrabia obdarzył kilka dziewcząt bagatelkami.

Żyd wyprostował się nagle przed Tankredem i śmiejąc się zawołał:

— *Arrah!* Wygrałem zakład! Wasza wysokość nie poznała, swojego Pata wiernego!

Tankred szczerze mu powinszował, tak mistrzowskiego przebrania.

— Proklamacje leżą w mojem pudle na spodzie — zerknął w bok nieznacznie. — Co do mojej liberji, ośmieliłem się schować ją starannie, po pod rzeczami waszej wysokości. Bo ja mojego pana drogiego nie porzucę!... *Hillo-hou!* Niech mnie Bóg uchowa od takiego nieszczęścia!

I dzielny chłopak powlókł się dalej zgarbiony, ze swoim towarem niebezpiecznym.

W godzinę później hrabia siedział z całym sztabem francuzkim, przy gościnnym stole biskupim. Gospodarz wystąpił wspaniale, co się zowie. Dziękowano starcowi całem sercem. Jenerał Humbert wniósł nawet jego zdrowie. On odrzekł na to ze zwykłą prostotą:

— Czyż nie jest powiedziane w Piśmie Świętem: „Ktokolwiek łaknie, nakarm go kto spragniony, nie żałuj mu napoju“.

— Ale Pismo Święte nie dodaje — roześmiał się wesoło jenerał — „napój go doskonałemi winami francuzkiemi“.

Przy kolacji Tankred poznał bliżej szefa sztabu, nazwiskiem Sarrasin, oficera dzielnego i wielkich zdolności. Ten jeden może z całej brygady, nie wierzył ślepo w powodzenie wyprawy awanturniczej.

Co do wychodźców irlandzkich, wracających z wygnania na okrętach francuzkich, ci łudzili się nadziejami, takie rzeczy niestworzone obiecywali, iż hrabia nie mógł się wstrzymać od porównania tych zapaleńców, ze swoimi dawnymi broni towarzyszami, podczas wojny wandejskiej, z pyszałkami zarozumiałymi z armji Kondeusza.

— Wszyscy wygnańcy, niestety! — w duchu pomyślał — są niepoprawnymi marzycielami!

Nazajutrz wszystkich umysły zajęły się przyszłą kampanią. Chłopstwo zewsząd się cisnęło, chcąc zbawcom przyjść w pomoc czemkolwiek. Młodzi i zdrowi o broń błagali.

Wojacy francuzcy, zbudowani doskonale, dobrze odżywieni, spluwali pogardliwie, patrząc na krajowców, wpół nagich, nędznych i głodem wycieńczonych.

Wybrano trzy tysiące, z pomiędzy wolontarjuszów, rozdano im broń i mundury z Francji przywiezione. Nigdy jeszcze biedacy tak się pięknymi nie widzieli Ich radość dziecinna granic nie miała!

Biskup obsypywał Francuzów dowodami uznania i najżywszej wdzięczności. Nigdzie i nikt ekscesu nie popełnił. Później nawet starzec czcigodny wydał list pasterski, w którym wielbił szlachetność główno-dowodzącego i karność przykładną wojsk francuzkich podczas pobytu w Killala.

Edward i Tankred zostali wcieleni do konnicy, która składała się z czterdziestu trzech szaserów i oficerów sztabowych. Humbert z góry im zapowiedział, że w nagłej potrzebie muszą szarżować wraz z innymi.

— I my również! — zawołał Edward zapominając o swojem incognito — rzucimy się na wrogów, z okrzykiem naszych przodków pod Fontenoy! *Flaugh na balagh!...* Ustąpcie z miejsca!

Gdy mieli wyruszyć, hrabia był przytomny pożegnaniu siostry z bratem:

— W panu moja nadzieja jedyna! — szepnęła Łucja w łzach tonąc.

Tankred odpowiedział bez wahania:

— Da Bóg! iż słowa dotrzymam!

XXXIX.
Baylana.

Ku tej mieścinie, oddalonej o mil pięć od Killala, pomaszerowało wojsko francuzkie. Ośmiuset Irlandczyków, niemogących być jeszcze wielką pomocą, i garstka owa, z Humbertem na przedzie, wierząca święcie w pomyślność wyprawy. Szli w bój śmiało, wesoło.

Wielkie było zdziwienie nazajutrz około południa. Szef sztabu Sarrasin po lekkiej utarczce, uznał za stosowne cofnąć się i połączyć z głównym korpusem, uchodząc z drogi niejako przed naciskającym nieprzyjacielem. Cofać się! coś co brzmi nieprzyjemnie w uchu żołnierza francuzkiego! Grenadjerzy szemrać zaczęli, oburzeni, że ich bądź co bądź do ataku nie poprowadzono. Humbert przypuścił konia w galopie, marszcząc czoło.

Szef sztabu wytłumaczył mu jednakże w kilku słowach, jak doskonałą zajął pozycję. Pagórek był lasem osłonięty i wzniesiony po nad całą płaszczyznę. Nieprzyjaciel oszukany tą zmyśloną porażką, puści się w pogoń niewątpliwie i napotka czoło armji, złączonej obecnie.

W rzeczy samej, granaty zaczęły pękać i przedzierać się pomiędzy drzew konary. Nikt się nie ruszył.

Pierwsza kolumna angielska, składała się przeważnie z kawalerji. W przekonaniu iż goni uciekających w popłochu, puściła się cwałem. Naraz odezwał się głos Humberta piorunujący:

— Ognia!

Przerażeni, zdziesiątkowani, kawalerzyści konie zawrócili. Francuzi wyszli z lasu w dolinę. Zaintonowali chórem Marsyljankę. Jako rodzaj akompaniamentu zaczęły grzmieć francuzkie trzy armaty. Piechota angielska wcale na atak nie czekała. Gdyby się nie był po drodze most zawalił, byliby teraz Francuzi za nią w pogoń poszli. Drzewa rosły nad brzegiem rzeki. Saperzy w jednej chwili zrąbali takowe i most naprawili Ani jednego już wystrzału, ani cieniu nieprzyjaciela po drugiej stronie rzeki

Wydano rozkazy, aby iść dalej.

Na szczycie ujrzeli przed sobą mieścinę Baylana. Ariergarda nieprzyjacielska wynosiła się z miasta czemprędzej. Francuzka awangarda zajęła niebawem przedmieście. Jenerał Humbert, z Tankredem przy boku, stanął pierwszy w mieście. Na środku rynku wznosiła się wysoka szubienica, na niej wisiał jakiś biedaczysko. Nie za szyję jednakże, według zwyczaju ogólnie przyjętego. Przeciwnie, nogi jego tkwiły w stryczku niby w sidle i tak balansował, między niebem a ziemią. Teraz rzucił się w górę, jedną ręką sznur uchwycił, drugą witał zwycięzców.

Był to Pat.

Pana swojego poznawszy, ze zwinnością kota dostał się na szubienicę, schwycił się za drąg poprzeczny, zębami odgryzł sznur i lekko jak piórko ześliznął się na ziemię, po słupie bocznym.

— A nie mówiłem, że cię gotowi powiesić! — Tankred machnął ręką.

— *Yes!* — roześmiał się od ucha do ucha — tylko, że to jeden z moich figlów błazeńskich, nie dać się powiesić, choć już stryczek jest na szyi.

I przez dosadną pantominę, starał się panom wytłumaczyć, przez jaką sztuczkę akrobatyczną zdołał śmierci uniknąć.

Humbert spytał, co się stało z proklamacjami.

— Rozdałem wszystkie co do jednej! Szedłem właśnie po drugie, gdym się dostał w pułapkę! Idę prosto z Castelbar. — Tankred służył w tej chwili za tłumacza, powtarzając dosłownie jenerałowi słowa Pata. Ostatni wyraz go uderzył.

— Castelbar! — wykrzyknął — Tam właśnie dążymy!. Cóż się w mieście dzieje? Widziałeś wojsko angielskie. Ile też być może załogi? — Oto odpowiedź, którą hrabia w języku francuzkim odniósł jenerałowi:

— Do dwóch tysięcy ludzi... Szkocka gwardja, pułk jeden *Fencible'ów*.. Czekano na posiłki, pod dowództwem jenerała Lake...

Hrabia w duchu powiedział sobie, iż Reginald czasu nie stracił!

Humbert badał dalej, jaka jest droga i jak wielkie oddalenie.

Dróg było dwie. Najprzód gościniec murowany. Ten był strzeżony przez oddział jenerała Taylor.

Przez góry przejście było wolne, ani jednego nigdzie żołnierza. Pat tędy wracał. I droga była o wiele krótsza ale stroma i przepaścista, dla kóz jedynie i przemytników!

Jeden z nich służył Patowi za przewodnika. Może go jeszcze odszuka w miasteczku. Dostał rozkaz surowy, wydobyć tego przemytnika, choćby z pod ziemi!

Humbert puścił się naprzód, Tankred chciał za nim pośpieszyć, gdy Pat z lekka za rękaw go przytrzymał.

— Nie h wasza wysokość raczy przebaczyć zbytnią może śmiałość. ale ja mam coś bardzo doskonałego dla mojego dobroczyńcy! — rzekł z wahaniem.

— Cóż takiego?

— Połowę stryczka!... Wasza wysokość nie wie tego zapewne.... ale stryczek wisielca wielkie szczęście przynosi...

A widząc że jego pan uśmiecha się niedowierzająco:

— Niech się wasza wysokość z tego nie śmieje! — żywo zaprotestował. — To święta prawda!... Dowód w tem najlepszy, że skoro nie mam chwilowo żadnej misji do spełnienia, zaciągam się do wojska! Pat piechurem! A to ci dopiero cała komedja!

Rada wojenna zebrała się tymczasem w komplecie. Humbert jak zawsze impetyczny, chciał odpocząć kilka godzin i natychmiast ruszyć dalej. Przezorny atoli i rozumny Sarrasin, przeciw temu energicznie oponował

Pat wprawdzie przemytnika odszukał i sprowadził, ale czyż można było puszczać się w nocy przez góry, w kraju nieznanym? A nuż by czekała na nich gdzie jaka zasadzka? Zdecydowano wreszcie, iż Pat i ów przewodnik, wrócą się tam i nazad, czy nie grozi wojsku jakie niebezpieczeństwo i będą czekali u stoku gór do rana.

Wysłano jednak i na drogę murowaną rekonesans. Była w istocie w kilku miejscach najwęższych, oszańcowaną i zabarykadowaną. Co do przejścia przez góry, znaleźli się i tacy tchórzliwi, którzy utrzymywali, że jest ono bardzo niebezpieczne, a dla armat wręcz niemożliwe.

— Nic nie znaczy! — Humbert zawołał. — My przejść musimy!

Pat z przewodnikiem czekali w miejscu umówionem. Na pierwszy rzut oka, to morze skał napiętrzonych, poprzerzynanych strumieniami, z hukiem i szumem w jary bezdenne spadającemi, mogło się wydać nie do przebycia. I w rzeczy samej tylko ówczesny żołnierz francuzki, potrafił wdrapywać się z krwią zimną na podobne wertepy, ponad brzegiem tak straszliwych urwisk i przepaści.

Gdzie konie armat i wozów wyciągnąć nie mogły, ludzie się zaprzęgali. Jeden wóz stoczył się w przepaść i tam go musiano zostawić, byle przemarszu nie opóźniać. O trzeciej rano pierwsza kolumna wyszła wreszcie na szeroką płaszczyznę. Noc była tak jasna, że w blasku księżyca w pełni szli dalej, jakby w dzień biały. Z płaszczyzny był widok rozległy na lasy, łąki i miasto w dali rysujące się mglistemi konturami. Nieopodal od miasta dymiły się ogniska, to obóz angielski biwakował pod gołem niebem.

— Tam jest nieprzyjaciel! — Humbert ręką wskazał — Pozwalam na trzy godziny wypoczynku, a potem dzieci weźmiemy się do roboty!

XL.

Castelbar

Było to coś, niby pieśń z *Iljady*.

Z jednej strony pięć do sześciu tysięcy Anglików Wojsko świeże, wypoczęte i podtrzymywane potężnym parkiem artylerji, z siedmnastu armat ciężkiego kalibru. Z drugiej strony garstka Francuzów, z trzema zaledwie armatkami polowemi, w dodatku wojsko znużone nocą bezsenną i marszem forsownym. Co do pomocy z krajowców, na tę nie wiele można było liczyć. Dalszy bieg wypadków dowiódł tego aż nadto dobitnie. Słońce wreszcie wypłynęło na strop niebieski, rozpraszając mgłę poranną nad rzeką Moy, która toczy na zachodzie fale mętne i burzliwe.

Castelbar ukazało się w całej okazałości, otoczone amfiteatralnie wieńcem pagórków. Na lewo skały i lasy, na prawo kilka młynów, a trochę dalej dwa niewielkie jeziora, odbijały niby w źwierciedle blask słońca wschodzącego.

Bliżej, w dolinie, którędy rzeka płynęła, były bagna torfiaste, wikliny gęsto zarośnięte, łąki bujne i mnóstwo nad brzegiem topól rozsochatych. W dolinie wszystko zdawało się w głębokim śnie pogrążone. Nikt się nigdzie nie ruszył. Z gór wiał wiatr ostry, gnąc krzaki jałowcu i drobniejsze zarośla. Stada ptaków zaniepokojone w rannym błogim spokoju, krążyły ponad doliną. Słychać było kruków wesołe krakanie. Żer obfity zapewne przeczuwały.

Żołnierze francuzcy patrzyli na miasto, myśląc w duchu, że przeprawa będzie nie lada! Twierdza prezentowała się bardzo imponująco, przystęp do niej jedyny stanowił szeroki, bity gościniec, który przechodził przez środek miasta, od północy na południe. Na wałach, przy każdej armacie, artylerzysta stał z lontem zapalonym. Roiło się wszędzie od mundurów czerwonych.

Nieprzyjaciel był widocznie ostrzeżony i czekał.

Francuzi zeszli z góry w głębokiem milczeniu. Czoło tej garstki, zajęło zaledwie część dziewiątą jednej mili angielskiej. Niby kompanja kosarzy, na łąki wychodząca.

W tej jednak garstce zuchów biło serce Francji całej. Obok tygrysów Wielkiej Brytanji, oni się za lwów uważali.

Zajęli stanowisko po za fosą, nad którą wał z ziemi

zasłaniał ich cokolwiek, przed pierwszą salwą artylerji. Stary kommodor Sherlock, dowódca twierdzy w Castelbar, kazał się wynieść na wieżę najwyższą. Patrzał długo przez lunetę okrętową i uśmiechał się iroicznie głaszcząc siwą brodę.

Między oficerami sztabowymi powstał szmer głuchy. Wielu utrzymywało, iż najlepiej będzie wysłać parlamentarza i poddać się bez wystrzału

Humbert jednak był wręcz innego zdania.

W chwili gdy jego garstka stawała w szyku bojowym, on wyjechał konno przed front. Ta zuchwała demonstracja, wywołała szarżę w pięćset koni, ze strony Anglików. Kawalerja francuzka rozstąpiła się na dwa skrzydła, demaskując tyraljerów.

— Bierz na cel! Ognia! — zabrzmiała komenda.

Kawalerja angielska cofnęła się natychmiast zostawiając na drodze kilkudziesięciu ludzi ubitych. Było to atoli bitwy sygnałem.

Siedmnaście armat z twierdzy, zionęły ogniem kartaczowym; trzy biedne armatki francuzkie, nie zostały im dłużne w odpowiedzi. Chwilowo nie mgła już, lecz dymu kłęby, zasłoniły miasto i całą dolinę.

Ten huragan trwał dziesięć minut, podczas których oficerowie i podoficerowie, z ust do ust rozkazy podawali. Żołnierze francuzcy, spokojni, z bronią na ramieniu, dotąd się nie ruszyli. Humbert stojąc w strzemionach, obrócił się plecami, z krwią najzimniejszą, do nieprzyjaciela.

Miał właśnie zacząć przemowę, gdy spostrzegł jednego z grenadjerów, chylącego głowę mimowolnie, pod świstem złowrogim kuli przelatującej. Był to młody olbrzym, gołowąsy Alzatczyk Fritz, który raz pierwszy proch wąchał

— Czyżbyś się bał chłopcze? — spytał wódz naczelny brwi marszcząc.

— Chroń Boże! — żołnierz żywo zaprotestował. — Tylko ponieważ nie miałem przyjemności dotąd zaznajomić się bliżej z kulami, kłaniam się na powitanie. Prosta grzeczność, nic więcej!

— Żołnierze z nad Moselli i Renu! — huknął teraz jenerał. — Nie czas się cofać! Żaden z was zresztą na to by nie przystał! Mamy jedynie do wyboru, pomiędzy niewolą na pontonach angielskich, lub zwycięstwem!

Dobosz dwunastoletni, przerwał mowę, uderzywszy w bęben z całej siły, do ataku.

— Brawo mój maleńki! — wódz z konia po główce jasnowłosej malca pogłaskał. — Oto najlepsza konkluzja dla ludzi z rycerskim animuszem! Naprzód! Niech żyje Republika!

Okrzyk wszyscy zgodnym chórem powtórzyli, nie wyłączając i Tankreda, który bąknął następnie z uśmiechem:

— Właściwie wyznaję inne zasady. Wobec nieprzyjaciela jednak każdy francuz powinien iść za francuzkim sztandarem!

Teraz nastąpiła scena wspaniała. Pod dowództwem Sarrasin'a i drugiego oficera Fontaine, żołnierze francuscy przeskoczyli fosę, która ich cokolwiek zakrywała. Rzucili się naprzód plutonami, oskrzydlając z dwóch stron nieprzyjaciela. Taki plan genjalny powziął i wykonał w jednej chwili wódz naczelny, już pod ogniem kartaczowym artylerji. Mimo nierówności terenu, skał odłamami najeżonego, żołnierze na szczyt się wdzierali, skacząc przez płoty i wały. Nic ich nie wstrzymało, ani salwy karabinowe, ani armaty ogniem ziejące. Ich „Marsyljanka“ huk dział głuszyła, a stojący na wałach artylerzyści, osłupieli naraz, nie widząc już nikogo u dołu.

Wdarli się na szańce, już są na wałach. Ani jednego strzału. Idą na bagnety. Opór ze strony Anglików do wściekłości ich doprowadza. Walka wre zacięta. Zamilkły armaty. Artylerzystów zakłuto co do jednego. Działa grzmią teraz i ogniem zieją na Anglików.

Było to hasłem zupełnej przegranej. Piechota linjowa poszła w rozsypkę. Humbert objechał pagórek z oddziałem strzelców i z oficerami sztabowymi, którzy w rzeczy samej szarżowali jak prości kawalerzyści. Tym sposobem spadli z nienacka, na tyły armji i rozbili w puch pułki arjergardy.

Stary kommodor przestał się śmiać.

Ostatnią baterję armat wytoczono na małe wzgórze, prażąc ogniem Francuzów. Osłaniał ją pułk szkocki, sformowany w czworobok i dotąd nietknięty. Ci Highlands'y z nogami obnażonemi, to mur równie nieprzebyty jak ich skały. Pod Humbertem konia ubito. Chociaż stał teraz na własnych nogach, jeszcze wzrostem olbrzymim górował nad wszystkimi.

— Kto mi pomoże wydrzeć sztandar szkockim sankiulotom? — spytał żartobliwie.

— My! — odezwał się zgodnym chórem oddział grenadjerów. I poszli przeciw Szkotom na bagnety.

Fitz-Gerald skazany również na piechotę i Tankred walczyli bez wytchnienia u boku jenerała. Miał właśnie sztandar pochwycić, gdy inny żołnierz wzniósł go ponad głowę, zakłuwszy bagnetem chorążego. Był to ten sam, który witał ukłonem kule świszczące koło ucha Fritz, dziecię Alzacji.

— Jenerale! — rzekł z dumą. — Wszak się nie boimy, co?..

Niedobitki z pułku szkockiego cofały się zwolna walcząc rozpaczliwie o każdą piędź ziemi. Dotarli wreszcie do bram miasta i zniknęli za niemi.

Pogoń wstrzymał ogień ostatniej baterji angielskiej. Obsługiwali ją sami marynarze. Komendę nad nimi objął Sherlock w własnej osobie.

— Dzieci — przemówił do artylerzystów — damy się wybić do nogi, ale zasłonimy rejteradę wojska naszego.

W rzeczy samej stary kommodor zamknął drogę Francuzom na całą godzinę; gdy wreszcie działa umilkły, starzec już nie żył!

W tymże samym czasie, jego ziomkowie, w zupełnej rozsypce, uciekali na wsze strony.

Humbert, jak też jego nieodstępni towarzysze, Edward i Tankred, dosiedli świeżych koni Skoro zaporę usunięto, przejechali wzdłuż miasta galopem. Oficerowie sztabowi wraz z strzelców oddziałem, rozpędzali ostatnie bataljony nieprzyjacielskie, które próbowały się jeszcze sformować. Fitz — Gerald, ani pamiętał, o ranie świeżej w ramieniu! Z pistoletem w jednej ręce, z pałaszem w drugiej, strzelał i rąbał naprzemian, bohaterski jak Irlandczycy pod Fontenoy. *Flaugh na balagh*!

Co do hrabiego, ten walką oszołomiony, a upojony zwycięstwem, mimo iż nie był zupełnie w tej sprawie interesowany, przypomniał sobie, bijąc się pod sztandarami młodej Republiki, starą dewizę Francji feodalnej, i wołał na głos cały:

— *Montjoie! et Saint Denis!*

Na płaszczyźnie, za miastem, dwa szwadrony czarnych huzarów, pod dowództwem barona von Homspach, sformo

wały się na nowo, gotując się do walki. Garstka francuzkiej kawalerji, przecięła ich w pół, niby trąba powietrzna.

— Złożyć broń! — huknął gromko oficer dowodzący.

Kilku oficerów wyciągało już pałasze, chcąc się poddać. Pułkownik jednak zmiarkowawszy niewielką liczbę nieprzyjaciela, krzyknął nawzajem:

— Ani przyjmujemy, ani dajemy pardonu! — i kazał zatrąbić do ataku.

To podejście mogło być w skutkach fatalne! Było sześciu najmniej przeciw jednemu!

— Przejedźmy się po nich raz jeszcze! — zakomenderował oficer francuzki. I znowu wpadli jak burza, znacząc ślady krwią i trupami. Teraz huzary w pogoń się puścili i byliby cięgi zadali nie lada garstce konnicy francuzkiej, gdyby nie przyszli jej byli w pomoc grenadjerzy, cwałem biegnący.

Silny ogień rotowy, ostudził zapał wojenny jurgieltników i ci nie czekając reszty, zemknęli jak stado spłoszonych zajęcy.

Gonić ich dalej, było czystem niepodobieństwem. Żołnierz francuzki upadał ze znużenia.

Gdy wódz naczelny wjeżdżał do miasta, już był je wprzód zajął ze swoim oddziałem kapitan Fontaine.

Jedna jedyna kompanja wolontarjuszów, dzielnie się trzymała, ta którą Pat dowodził. Obnoszono też bohaterów w tryumfie po ulicach.

Pat rzucił się pierwszy na armatę, wołając na towarzyszy:

— *Arrah*! Niczego się nie lękajcie! Już ja jej zamknę buzię niepoczciwą!

Tankred wypowiedziawszy odę pochwalną na cześć swojego sługusa, skończył z uśmiechem:

— Nie wiedziałem doprawdy, że taki zuch z ciebie!

— *Hillo-hou*! — Pat z całą naiwnością w głowę się poskrobał — Ja sam dopiero teraz się o tem dowiaduję!

A uderzywszy się w czoło, jakby sobie coś nagle przypomniał:

— *Musha*! Wszytkiego tego przyczyną mój stryczek.

Do północy, powtórzyły się te same sceny, co w Killala i w Baylanie, tylko w stopniu najwyższym!

I Tankred podzielał szczerze radość ogólną.

— Rzecz dziwna! — pomyślał, znalazłszy się wreszcie na kwaterze dla niego przeznaczonej. — Od czasu wojny amerykańskiej, nie biłem się z takim gustem! z takim zapałem!... Ba! w Wandei, szedł brat przeciw bratu!. Niech djabli porwą taką wojnę! Gdy przeciwnie tutaj..' Właściwie, co mię to wszystko obchodzi? — parsknął śmiechem. — Co by też powiedzieli moi dawni towarzysze z armji Charette'a i Kondeusza?

(Ciąg dalszy nastąpi).

NAPOLEON BONAPARTE

przez

H. Taine'a.

(Ciąg dalszy.)

Jeżeli ten obraz ogólny, będący tylko zarysem tysiąca wypadków, urozmaicimy faktami z życia codziennego, jeżeli ożywi się on w oczach naszych całym szeregiem szczegółów wymownych, natenczas pojmiemy obszerny kurs moralności, jaki otoczenie wykładało codziennie młodemu Bonapartemu. Słuchając przy stole rozmowy osób dorosłych, dziecko tworzyło już samodzielne pojęcia, a tłumacząc sobie takie naprzykład dowodzenie o kłamstwie, jakie mu wuj rzucał, chwytając w lot ruch uwielbienia lub wzgardliwe podniesienie ramion, odgadywało, iż pokój nie ma nic wspólnego z podstawą otaczających go stosunków; że wśród wiecznie panującej tu wojny, podstępem tylko można się utrzymać na stanowisku, gwałtem i bezprawiem — wznieść wyżej, ciosem wymierzonym skrycie — zapanować nad innymi. Pozostawiony sobie przez resztę dnia, rzucony na łaskę niańki Ilaryi, klucznicy Saveryi, lub okolicznego tłumu, wśród którego ciągłe odprawia wędrówki, malec, błąkając się, słucha opowiadań majtków i rybaków, pasterzy i rolników, pochwytuje naiwne ich okrzyki zachwytu, jakiemi darzą szczęśliwą utarczkę lub pomyślną a zręcznie urządzoną zasadzkę na nieprzyjaciela; wrażenia te zaś, połączone z naukami odbieranemi mimowolnie w domu, podsycają myśl kiełkującą na dnie młodziutkiej duszy, podniecają wzrost ziarna, które i tak na dobrze już przygotowany grunt padło. Są to dla niego pierwsze *lekcje poglądowe*, które przenikając zazwyczaj głęboko w duszę dziecięcą u Napoleona przyjmowały się tem łatwiej, że umysł pożądał ich chciwie, wychowanie zaś znalazło silnego we wrodzonych instynktach sprzymierzeńca.

Znalazłszy się też na początku rewolucji w Korsyce, umie brać życie tak, jak się ono przedstawia; uważa je za walkę nieustającą, w której broń każda jednakowe ma prawa; w zacieśnionem jej polu działa ze swobodą, żadnemi nie powstrzymywaną względami. Wprawdzie składa niekiedy ukłon sprawiedliwości i prawu, lecz czyni to w słowach jedynie, z ironją, tłumaczącą aż nazbyt wyraźnie, że w oczach jego prawo jest tylko czczym frazesem kodeksu, sprawiedliwość — utopią z książek poczerpniętą, a siła — najlepszem obu zastosowaniem.

Wrażenia, wyryte w umyśle dziecka przez anarchję korsykańską, miała spotęgować następnie w duszy młodzieńca anarchja francuzka. Naród, upadający pod brzemieniem rozkładu, spieszy potwierdzić *lekcje o rzeczach*, dane mu przez społeczeństwo niezorganizowane jeszcze. Przenikliwy wzrok jego potrafił pod osłoną szumnych frazesów i teoryj odkryć odrazu rzeczywistą podstawę rewolucji, opartą na rozpasaniu namiętności; być zwycięzcą lub zwyciężonym — oto alternatywa, przedstawiająca się nagle jego oczom, między dwiema bowiem ostatecznościami droga pośrednia nie istniała nawet. Dzień *9 termidor'a* rozdziera wreszcie ostatnie zasłony, a instynkta drapieżnej samowoli, chęć panowania oraz prywatne pożądania i zabiegi stają na scenie politycznej w całej prawdzie swej i nagości Nikt się nie troszczy o dobro publiczne, nikt o prawa ogółu; przywódcy występują w roli opryszków, dla których Francja cenną zdobycz stanowi; chcąc też łup ten zachować, gotowi są bronić się zawzięcie przeciwko wszystkim, bronić wszelkiemi środkami, nie wyjmując bagnetów nawet. W wojsku równocześnie, a szczególniej w armji włoskiej, zapał rupublikański i poświęcenie patryotyczne ustąpiły innym żądzom i namiętnościom. Płaceni asygnatami, niemającemi na rynkach żadnej wartości, bosi, w łachmanach, żywieni czterema uncjami chleba dziennie, pragną oni przedewszystkiem wyjść z tej nędzy. Dobiwszy się, po trzechletnich wzdychaniach na szczytach Alp, ziemi obiecanej, chcą nieszczęśliwi zakosztować wreszcie jej rozkoszy. Duma, podniecona powodzeniem i wyobraźnią, stanowiła tu drugi bodziec działania; dorzućmy doń jeszcze chęć życia i użycia, zapał młodzieńczy i werwę czysto francuzką, a pojmiemy, iż burzliwi ci wojownicy uważali istnienie za zabawę jedynie

lub krwawy pojedynek. Z drugiej jednak strony, każdy przyzna, że być odważnym i stawiać czoło kulom dla przechwałki, dla tego, że nas to nic nie kosztuje, biegnąć ze schadzki na pole bitwy, a z walki trupami usianej na bal, bawić się i narażać życie rozmyślnie, bez potrzeby, z chęcią doświadczenia silnych wrażeń jedynie, używać zdolności swych wtedy tylko gdy współzawodnictwo podbudza je naprzemian z niebezpieczeństwem, — to nie odwaga, to nie poświęcenie dla ojczyzny. Tak, prócz bezmyślnych letkiewiczów, postępować mogą tylko ci, którzy szukając wyniesienia chcą zdobyć karjerę, którzy pragną, idąc stopień po stopniu, łupić i okradać, aby się z czasem wzbogacić, jak Massena, lub którzy ujarzmieniem i podbojem dochodzą do potęgi, równej potędze Bonapartego.

Porozumienie między generałem i armją nastąpiło pod tym względem bardzo szybko, po roku zaś doszło do wzorowej zgody i jedności zdań. Z tych wspólnych zapatrywań i czynów wyłania się odrębne zupełnie pojęcie moralności, pojęcie chwiejne, niedość jeszcze śmiałe w wojsku, skrystalizowane i pewne siebie u głównego wodza. To, czego oni się domyślają, on wie już na pewno, ręką więc spokojną pcha ich ku pochyłości, a wyprzedzając o krok jeden adeptów swych idei, uważa świat za wielką ucztę, zastawioną dla wszystkich, przy której jednak ten tylko dowoli używać może, kto posiada ręce dość długie, aby zagarnąwszy najpierw półmiski, innym r sztki tylko pozostawić z bankietu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

PORADNIK DOMOWY.

Pranie kapeluszy słomkowych.

Kapelusze słomkowe, ryżowe i panama wymagają kilkakrotnego prania w czasie lata, coby, szczególniej gdzie jest dużo dzieci, było bardzo kosztowne, dając do prania. Można przecież w domu również dobrze to zrobić, dołożywszy nieco starania. Zdjąwszy z kapelusza słomkowego lub ryżowego, wszelkie ozdoby i druciki, włożyć go jeżeli można na formę drewnianą i natrzeć słabym rozczynem z potażu Tym sposobem wszelkie plamy znikną Potem gdy przeschnie nieco na formie, trzeba dla białości, gdyż słoma zżółknie, nacierać go prędko miałką siarką, a w końcu oczyściwszy czyli wydmuchawszy siarkę, natrzeć gąbką umaczaną w lekkim krochmalu, zmieszanym z wodą ryżową, to jest w odwarze na wpół ugotowanego ryżu, a przykrywszy arkuszem bibuły, prasować z lekka zwyczajnem żelazkiem. Kapelusze panama jako wyrabiane z drzewa, piorą się poprostu jak koszyki szczoteczką i mydłem rozrobionem w miękkiej wodzie, a następnie wycierają czyli płóczą gąbką, w czystej wodzie maczaną

Czyszczenie materacy włosiennych.

Wypruć włosień, wytrzepać doskonale, a następnie włożywszy w kocioł, nalać dostateczną ilością wody, wsypać potażu i gotować kilka godzin na mocnym ogniu ciągle mieszając kijem. Następnie na dużym przetaku, lub na rozciągniętem płótnie wypłókać czystą wodą, wysuszyć bardzo starannie i napychać napowrót materace.

Czyszczenie lakierowanych rzeczy.

Sprzęty choćby najstaranniej ocierane codzień z kurzu, brudzą się przecież z czasem, a w najporządniejszym nawet domu niepodobna się ustrzedz muchy, która je pstrząc zanieczyszcza; otóż zmieszawszy mąkę z oliwą na pewien rodzaj ciasta, wycierać je takowem, a wyczyszczą się wybornie z wszelkiego brudu.

Proszek do czyszczenia luster i szyb.

Cztery łuty miałkiej kredy, 3 łuty trypli, 1 łut wolusu, utłuc bardzo miałko, następnie przesiać przez gęste sito lub rzadki muślin. Biorąc do użytku zwilżyć lekko lustro czy szybę gąbką, a następnie cienkim starym płóciennym gałgankiem, umoczonym w proszku, tak długo wycierać lustro czy szybę, aż zupełnie czyste będzie. Szyby zwyczajne czyszczą się bardzo dobrze kredą tłuczoną miałko przesianą, a następnie rozrobioną na rzadko miękką wodą; umoczyć miękką skórkę, najlepiej kawałek irchy, w tej masie, posmarować szyby, a następnie wycierać cienkim miękkim gałgankiem.

Kwadraty magiczne.

a	a	a	a	c
d	d	e	e	i
i	l	n	o	o
o	r	r	r	t
t	w	z	z	ó

a	a	a	a
a	a	e	m
m	o	p	p
r	r	t	t

Szarada.

Jakże ten włoski, pierwszy uroczy,
Jakże cudowny wśród szwajcarskich gór!
Jednak piękniejszy widzą nasze oczy
Tam gdzie ojczyzna — gdzie rodzinny bór
Drugie litera — z trzeciem złączony
Przedstawia dzieło malarskiej sztuki,
Lecz wszystek ręką Boga stworzony
Przejdzie największych mistrzów nauki.
Jeszcze to dodam, że cztery razy
Na rok odmienną suknię ubiera —
W lecie wesołym widokiem darzy,
W zimie posępną postać przybiera.

Zadanie.

Stopa — kamień — mile — arak — baraki — karby — czapka — Idalia.

Każde ze słów numerowanych przerobić na inne, poczem ułożyć je w tym porządku, żeby dały nazwisko zasłużonego męża polskiego.

Jako premjum za rozwiązanie, przeznaczamy **powieść J. Wdowiszewskiego „Cywilizator“**

Rozwiązanie zadania diamentowego.

S
k t o
k r e p a
s z a f i r y
K o c h a ń s k a
K o c h i n c h i n a
I g n a c y C h o d ź k o
S t e f a n C z a r n e c k i
a r c h i m a n d r y t a
k a r i e r o w i c z
t a r a n t e l a
S y b e r i a
h u c u ł
O k a
i

Rozwiązanie zagadki.

Aktor w roli króla.

Rozwiązanie łamigłówki z liter.

Szlachcic na zagrodzie, równy wojewodzie.

Ponieważ nikt nie nadesłał rozwiązania wszystkich łamigłówek, z poprzedniego numeru; pozostałą premię „Cywilizator“ przeznaczamy za rozwiązanie powyższych zagadek.

Z drukarni nar. W. Znanieckiego. Wydawca: Józef Rogosz Zarządca drukarni i odpowiedzialny redaktor: Walenty Hodak.